




Moje wakacje dawniej, czyli jak wypoczywano w PRLu



O swich wspomnieniach związanych z wakacjami w minionej epoce, opowiada nam prof. Tadeusz Bohdal, Rektor Politechniki Koszalińskiej w latach 2012-2020, inżynier i nauczyciel akademicki.

– Patrząc z perspektywy czasu, czy wakacje w PRL-u były fajne?

–Wakacje zawsze są fajne. I to jest prawda obiektywna. Jest to czas wolny od nauki, brak zajęć w szkołach, pełny luz. Nie ważne czy spędzamy je w domu, na podwórku, u babci czy na koloniach. Dzieci zawsze lubiły i lubią wakacje. W moim przypadku lata dzieciństwa to były czasy powojenne. W PRL-u ogólnie był niski poziom życia, społeczeństwo było ubogie. Czas Gomułki, to okres równowagi rynkowej, ale przy niskiej stopie życiowej. Niskie zarobki pozwalały zaspokoić podstawowe potrzeby życiowe ludności, ale na zbytki nie pozostawało wiele. Tym niemniej dzieci zawsze cieszyły się z tego co było. Najważniejsze to radość młodości, czułość rodziców i poczucie bezpieczeństwa. Nie znaliśmy wtedy współczesnych wynalazków. Nie było telefonów komórkowych, smart 

fonów, Internetu itp. Raczkowała telewizja. Dlatego wszyscy mieliśmy więcej czasu, szczególnie dla siebie. Dzieci spędzały czas na świeżym powietrzu, co było bardzo korzystne zdrowotnie. Do późnej nocy były harce w zapomniane już gry i zabawy podwórkowe.

– Zatem jakie wakacje wspomina Pan najlepiej? Jak dzieci spędzały wówczas czas?

–Wszystkie wakacje wspominam z przyjemnością. Każde miały swój urok i sprawiały mi dużą radość. Jak byłem w szkole podstawowej, to wakacje spędzałem z rodzicami lub u bliskiej rodziny. Moi dziadkowie mieszkali w Żywcu, więc wiele razy bywałem tam na wakacjach. Tam miałem swoich kolegów i koleżanki. Były wspólne zabawy na wolnym powietrzu, gra w piłkę, w chowanego, w berka. Moje ciocie zabierały mnie na wycieczki w pobliskie góry. Poznałem więc Beskid Żywiecki, okoliczne wsie i miasteczka. W jedno lato byłem świadkiem budowy Jeziora Żywieckiego. Duże wrażenie zrobiły na mnie prace ziemne, wały ochronne, budowa zapory. Spacerowałem pod dnie przyszłego akwenu. Gdy ponownie przyjechałem po roku, w miejscu budowy było dużo wody i ludzie kąpali się na brzegu jeziora.

– A kolonie i obozy?

–O tak, w czasach PRL-u dużym zainteresowaniem cieszyły kolonie. Tysiące dzieci wyjeżdżało na nie w różne regiony Polski. Montowano wtedy całe składy pociągów z wagonami zarezerwowanym dla kolonistów. Kolonie były dwutygodniowe, i w połowie miesiąca oraz na przełomie miesięcy przez Polskę przetaczały się setki takich pociągów. Była to, tzw. wymiana turnusów. Dzieci wypoczywały, a wielu nauczycieli miało możliwość dorobić do skromnych pensji, pełniąc rolę opiekunów grup kolonijnych. Uzupełnieniem kolonii były półkolonie, gdzie dzieci na osiem godzin przychodziły zwykle do swoich szkół na organizowane tam gry i zabawy oraz posiłki. Młodzież harcerska, podobnie jak dzisiaj, brała udział w licznych obozach leśnych.

–Wakacje były czasem beztroski czy też pracy, pomocy?

–,Dla wielu dzieci wakacje były czasem beztroski. Szczególnie dla dzieci w mieście. Inaczej było na wioskach. Nie miałem rodziny na wsi, ale nieraz bywaliśmy u znajomych. Tam dzieci w lecie pomagały rodzicom w gospodarstwach przy lżejszych pracach polowych. W latach sześćdziesiątych była mała mechanizacja w rolnictwie. Szereg prac wykonywano ręcznie. Przy żniwach trzeba było wiązać snopki zbóż, zestawiać je w kupki, podawać na wóz. To samo dotyczyło kopania ziemniaków. Zbierano je ręcznie. Dużym ułatwieniem było posiadanie kopaczki do ziemniaków.

–Czyli też słynne wykopki?

–Ja również od piątej klasy szkoły podstawowej brałem udział w wykopkach. We wrześniu wszyscy uczniowie szkół podstawowych i średnich przez jeden tydzień pracowali przy zbieraniu ziemniaków w PGR-ach (Państwowych Gospodarstwach Rolnych). Rano była zbiórka w szkole, potem wyjazd autobusem na pole i o godzinie piętnastej powrót. W przerwie otrzymywaliśmy bułeczki z wkładką i kubek ciepłego mleka lub kakao. Efektywność tych prac oceniam nisko, uczniowie leniwie zbierali wykopane ziemniaki, często wiele zostawało w ziemi. Najbardziej szkoda mi było naszych nauczycieli, którzy różnymi sposobami namawiali nas do zwiększenia wydajności. PGR-y płaciły szkołom jakieś tam pieniądze, które później wykorzystywano na dofinansowanie potrzeb klasowych. Nie były to duże kwoty, ale i robota też była taka sobie.

–Jaka była w ogóle wtedy wymierna wartość pieniądza dla młodzieży?

– W czasach wczesnego PRL-u rodzice nie mieli za dużo pieniędzy, to i dzieci otrzymywały ich niewiele, ale zawsze coś było na cukierki. Sytuacja poprawiła się za Gierka. Wzrosły zarobki rodziców, kieszonkowe dzieci było wyższe. Można nawet było kupić modne ciuchy i ładniejsze buty. Do dzisiaj pamiętam moje emocje, kiedy kupiłem swoje pierwsze markowe dżinsy (Wranglery) za osiem dolarów w Pewexie (sklep za waluty obce, tzw. wymienialne). Był szpan na całego.

– A wakacje studenckie – jak wyglądały? Podobno trzeba było „odpracować” studia na praktykach? Dużo Pana kolegów brało udział w takich praktykach?

–Moje studia przypadły na okres wczesnego Gierka. To były dobre czasy, ale jak się później okazało na kredyt, który spłacaliśmy przez trzydzieści lat. Państwo socjalistyczne promowało wykształcenie, dawało je za darmo, ale trzeba było też coś dać dla ludowej Ojczyzny. W praktykach robotniczych brali udział wszyscy nowo przyjęci na studia studenci. To był taki chrzest bojowy dla kandydatów na inżynierów, którzy mieli poznać smak pracy robotnika, aby go później bardziej szanować. Gdy po zdanych pomyślnie egzaminach wstępnych, zostałem przyjęty na pierwszy rok studiów w Wyższej Szkole Inżynierskiej w Koszalinie, to od razu zostałem skierowany do odbycia praktyki robotniczej w przedsiębiorstwie budowlanym. Jako przyszły student miałem w ten sposób odpracować uzyskany przywilej studiowania.

–I jak to wyglądało? Popularna „kufajka” i gumowce?

–Cały sierpień 1972 roku pomagałem wyrównywać grunt pod ławy fundamentowe budynków przy ul. Sucharskiego na osiedlu Północ w Koszalinie. Błoto było niesamowite, buty gumowe zostawały w błotnistym gruncie. Mistrz budowy opowiadał nam o planach rozbudowy osiedla, w tym budowy zaplanowanych wieżowców dziesięciopiętrowych, które powstały w przyszłych latach. Mieszkaliśmy wtedy w akademiku nr 1 przy ul. Rejtana (pozostałych jeszcze nie było), a obiady serwowano nam w stołówce kombinatu budowlanego przy ul. Orlej. Popołudnia były ciekawsze. Jeździliśmy nad morze, zwiedzaliśmy okolice i oczywiście piliśmy koszalińskie piwo. Kolejnym moim wakacyjnym spotkaniem z przemysłem była praktyka zawodowa, którą odbyłem w czasie studiów w nowo wybudowanych zakładach mięsnych w Koszalinie (obecnie jest tam firma rybna). W PRL-u były różne paradoksy i zabawne sytuacje. Nowe firmy były zwykle otwierane z okazji ważnych świąt państwowych. Zakłady mięsne w Koszalinie zaplanowano otworzyć z okazji święta Odrodzenia Polski, które obchodzono 22-go lipca. I tak uczyniono, rozpoczynając ubój zwierząt i przeróbkę mięsa. Otwarcie było bardzo uroczyste z udziałem najważniejszych oficjeli z Warszawy. Ponieważ jednak budowa zakładów nie została zakończona, to po tygodniu ustała produkcja i wykonywano dalsze prace wykończeniowe. W tych warunkach odbywałem moją miesięczną praktykę, jako przyszły inżynier mechanik, mieszając cement i wapno oraz malując na biało ściany magazynów i warsztatów.

– Jak wspomina Pan tamten okres? Było wygodnie czy raczej po „robotniczym”?

–Ja jestem z natury optymistą i zawsze potrafię wybrać pozytywy z każdej sytuacji. Dlatego wiele rzeczy wspominam bardzo dobrze. Tamten okres też. Każdy czas ma swoje dobre i złe strony. Trzeba zwracać uwagę na te dobre. W czasach socjalizmu zachęcano nas do tzw. konsumpcji zbiorowej, w tym do udziału w nieodpłatnych lub niskopłatnych imprezach zbiorowych. Podczas dwóch sezonów brałem udział w rajdzie młodzieżowym szlakiem Zdobywców Walu Pomorskiego. Szliśmy wtedy przez cały tydzień, w grupach około stuosobowych, promieniście z różnych miast regionu do Wałcza. Każdego dnia



pokonywaliśmy pieszo około 20 km. Samochody wiozły nasze plecaki i namioty. Jechała też kuchnia wojskowa, która serwowała nam codziennie trzy posiłki. Biwakowaliśmy w ciekawych miejscach (najczęściej nad wodą). Popołudniami były liczne imprezy, konkursy, koncerty, zwiedzanie okolicy itp. Powstawały nowe znajomości, przyjaźnie i nie tylko. Wakacje po „robotniczym” nie były takie złe. Pracownicy instytucji państwowych, zakładów pracy licznie korzystali ze zbiorowego wypoczynku. W okresie PRL-u powstało bardzo dużo ośrodków wypoczynkowych w różnych miejscach w Polsce, od morza do gór. Należało tylko uzyskać w swojej firmie skierowanie na dwutygodniowe wczasy i za małą dopłatą (było duże dofinansowanie) udać się na zasłużony wypoczynek. Klasa robotnicza zjechała się więc tłumnie z całymi rodzinami w różne części kraju. O skierowanie na wczasy w kraju nie było tak trudno, bo władza preferowała zbiorowy wypoczynek. Trudniej było o skierowanie na wczasy zagraniczne w państwach demokracji ludowej (były państwa socjalistyczne w Europie Środkowej – tzw. „demoludy”). Tam było mniej miejsc.

–Dlaczego?

–Wczasów w innych krajach władze nie popierały, trudno było uzyskać paszport i niewielu to się udawało. Łatwiej było w latach siedemdziesiątych. Władze komunistyczne stopniowo otwierały się na świat. Rozpoczęła się wymiana międzynarodowa studentów. Niektórzy moi koledzy z koszalińskiej uczelni wyjechali wtedy na staże zagraniczne do innych uczelni, np. we Francji, Niemczech, w Indiach, we Włoszech, w krajach afrykańskich itp. Można też było wyjechać z Almatu na wycieczkę na Zachód. Były to jednak drogie wycieczki, bo niskie było ich dofinansowanie, a dewizy były bardzo drogie, praktycznie po kursie czarnorynkowym. Ja dopiero po zmianach ustrojowych w naszym kraju, to jest po roku 1989 zacząłem zwiedzać, tzw. Zachód. Odbyłem szereg wyjazdów po Europie, Ameryce, Afryce i dalekiej Azji. Tak jak większość moich rodaków skorzystałem z dostępnego kursu walut obcych, który obecnie, pomimo inflacji, jest kilkadziesiąt razy niższy niż za czasów PRL-u, kiedy to za średnią krajową pensję można było na czarnym rynku kupić tylko 20 dolarów amerykańskich.

– Istniały chyba studenckie biura podróży, korzystał Pan z takich wyjazdów wakacyjnych?

– W PRL-u istniało studenckie biuro podróży Almatu, które oferowało studentom dużo wyjazdów na wycieczki w okresie wakacyjnym. Było ono w dużym stopniu dofinansowane przez państwo. Poszczególne uczelnie w kraju dostawały przydział miejsc w poszczególnych wyjazdach w zależności od liczny studentów w danej uczelni. Były to przede wszystkim wycieczki do krajów demokracji ludowej. Mnie udało się zakwalifikować na dwa takie wyjazdy. Pierwszy w 1975 roku to dwutygodniowa wycieczka samolotowa po Azji środkowej. Zwiedzaliśmy miejscowości takie jak: Taszkient, Ałma-Ata, Samarkanda, Duszanbe. Niesamowite wrażenia z poznania kultury Orientu, wspaniała architektura, piękne krajobrazy oraz gościnni ludzie. Drugi wyjazd, też dwutygodniowy, odbyłem jako młody asystent w 1978 roku zwiedzając Kaukaz. Byliśmy wtedy kaukaskiej saunie z sypanymi ziołami i czerwonym winem polewanym na gorące kamienie. Do tego zimna kąpiel w źródlanej wodzie. A dookoła tylko ośnieżone szczyty i my w ładnym, jak na tamte czasy, hotelu.

Rozmawiał: Tomasz Wojciechowski

Wywiad ukazał się w koszalińskim tygodniku „Miasto”.



POPZEDNI ARTYKUŁ

Koła Gospodyń Wiejskich czyli ważny element nowoczesnej wsi

Baltic Info

Wpisz swój e-mail

Potwierdź

Biznes Ludzie i społeczeństwo Samorząd Galeria

© 2019 Noovazity, Inc. All Rights Reserved. Theme design by Zemez

